

MAGDALENA KATARZYNA BAJOR

NIEDOM

MARGINESY

Tym, którzy towarzyszyli mi w drodze do tej książki

COPYRIGHT © BY Magdalena Bajor

Published by arrangement with Beata Stasińska Literary Agency

COPYRIGHT © FOR THIS EDITION BY Wydawnictwo Marginesy, 2026

* * *

W lutym zamarzł Bałtyk. Mróz trzymał od początku grudnia. Trzymał i nie puszczał, niby nie tak wielki, ale uparty. Aż stało się to, czego Anton Fischer nigdy wcześniej nie widział. Szara, pomarszczona lodowa skorupa wiązała pod sobą szum i dziwnie było prawie go nie słyszeć. Nie tak jak zawsze. Mróz uwięził morze. Anton pamiętał, jak dwadzieścia lat temu łód skuł port w Stolpmünde, lecz po kilku dniach puścił. Teraz kolejny ranek patrzył na białe, nieruchome akwen, który przypominał pokryte śniegiem zaorane pole.

Wyszedł przed drzwi. Mała rybacka chata miała z przodu werandę z balustradą i cztery drewniane schodki. Stała bokiem do morza. Zimno zastygło w powietrzu, całkiem bezwietrznym, jak nie nad Ostsee. Stopień ugiął się i zaskrzypiał, choć Anton nie był ciężki. Przeciwnie, jego drobna postura już od dzieciństwa była obiektem kpin. Jaki Fischer? Co najwyżej śledź – chudy, śliski śledź. Nawet ojciec w niego wątpił, ale przyuczał go cierpliwie każdego dnia. Bo co innego miał robić? Sam był synem rybaka i mógł wychować syna tylko na rybaka.

Anton odgarnął butem śnieg i rozłożył gruby wełniany koc w niebiesko-czerwone pasy. Nie pamiętał, skąd go miał. Był stary i wyleniały. Może zostawiła go Rozalia? Usiadł i rozprostował

nogi. Łamało go w kościach. Ściągnął rękawice i spojrzał na dłonie. Drobne ręce z wyżynami żył, niebieskich i fioletowych, które wyglądały jak ujścia rzek do morza. Brązowe plamy na skórze rozkładały się między nimi niczym łachy ziemi. Kraj obraz starości. Fischer nie grzeszył urodą, a z czasem zrobił się z niego suchy strup, w którym ledwie płynęły soki. Zapalił fajkę. Zza zamkniętych drzwi dochodziły odgłosy krzątanimy Janka.

Nie przeszkadzały mu te dźwięki, choć gdyby morze szumiało jak zwykle, pewnie by ich nie słyszał. Rozglądał się, przesuwając wzrokiem, szukając punktu, na którym mógłby go zaczepić. Śnieg pokrywał wydmy i plażę. Biel, biel, wiele odcieni bieli. Biała, beżowa, szara, niebieska, a nawet żółta. Morze bieleło się szarością. Dym z fajki unosił się prosto w górę i znikał wysoko. Nad horyzontem, który zlewał się z morzem, wisiąco kółko białego słońca, zimne i oddalone za szybą stalowego nieba.

Kiedy tak siedział, był tylko ciemną plamą w kuli sienie bieli. Nie pasował tu, ale nie chciał stąd wyjeżdżać. Złożył już papiery i liczył na to, że pozwolą mu zostać. Był jedyną rodziną dla tego małego Polaka.

Wciągał w nozdrza woń morza zawieszoną w zimnym powietrzu. O tej porze roku pachniało inaczej, płycej i mniej rybnie, ale wciąż słono. Oblizwał wargi. Zaraz wgryzł się w nie mróz i wgryzła się sól. Smakowała dobrze, znajomo. Jutro pójdzie do portu wyrąbywać łód. Jak w dwudziestym szóstym. W Ustce są cztery czynne kutry i tylko kilkunastu rybaków. Wezmą go. Przecież rozumie i nawet trochę mówi po polsku. Kiedyś w Stolpmünde było więcej niż pięćdziesiąt kutrów, a jeszcze dawniej łowiono w sieci ciągnięte z brzegu. Trzeba było grupy silnych chłopów, trzeba było znać, co myśli ryba, co przyniesie prąd i pogoda. Kto wiedział, ciągnął sieci pełne łososia, szprota czy śledzia. Co ryba kombinuje i jak czytać morze, tego uczyli Fater. Ale Fatra dawno już nie ma. Nie ma innych Fatrów, nie ma kolegów, z którymi pił w gospodzie i grał w karty. Lubił skata, był w nim dobry. Nie ma

Fatra, Agathe, Wischniewskiego ani Kostka. Fischer nigdy nie nauczył się wymawiać polskiego „ś”, a bardzo się starał. Bez rezultatu. Jego „ś” obijało się co najwyżej o miękkie „sz”. Najbardziej tęsknił za małym.

Wściekł się, kiedy Agathe oddała się Polakowi. Pojechała na służbę do Stolp. Pociągami. Stał na peronie i patrzył na żelaznego węża, w którego wnętrzu ludzie wyruszali w świat. Machał do niej, kiedy wychylała się przez okno. Miała siedemnaście lat i robiła się podobna do matki, tej latawicy, co poszła z wiatrem, a która pojawiła się w jego życiu na krótki moment, zupełnie nie wiadomo skąd. Piękna Rozalia. Przyszła i ogrzała mu łóżko. Nigdy nie miał kobiety, rodziny też już nie miał, więc kiedy zostawiła mu niemowlę, poszedł do kościoła i je ochrzcił. Agathe Fischer. Przez pierwszy rok chowała się u mamki, później zabierał ją do siebie. Aż w końcu została. Nie chciał wiedzieć, co stało się z Rozalią. Starał się o tym nie myśleć. Jej dziecko wyrosło i kłuło w oczy podobieństwem do matki. Z okna wagonu machała już nie dziewczynka, ale kobieta. Wysoka, prosta i kształtna. Z grubym jasnym warkoczem, który wkładała za pasek spódnicy, kiedy czyściła ryby.

Poszła niewinna, a po roku wróciła z brzuchem rosnącym pod sukienką aż do piersi. Za nią przygnał Wischniewski. Był wysoki, przystojny, z jasnym gęstym wąsem, zwichrzony i narwany. Kawał chłopca, zapatrzonego w Agathe i podatny w jej rękach niczym masło. Od razu było widać, jak ci dwoje ciągną ku sobie. Bachor wkrótce się urodził, a zaraz potem Wischniewski wyprosił ślub u księdza Plischkego. W domu coraz więcej mówiło się po polsku i tylko przy rybach Wischniewski mówił po niemiecku, jak inni rybacy.

Anton miał złe zdanie o Polakach i wolałby, żeby Agathe wzięła sobie Kaszuba, nawet jeśli pamiętał, co mówił Fater: że Kaszub jest jak piach i daje się przerzucać między lądem a morzem. Ani z niego Niemiec, ani Polak.

Choć nie lubił Wischniewskiego, musiał przyznać, że jest pracowity i szybko się uczy. Na początku – Anton to widział – zapach ryb go drażnił. Całe życie robił przy koniach. W Stolpmünde były konie, ale roboty przy nich nie było, i zięć poszedł z teściem na kuter. Trudno było o większy kontrast, chociaż obaj wykonywali tę samą pracę. Fischer marszczył czoło i z wysiłku zaciskał usta w wąską linię, tak że całkiem ginęły w jego bujnej brodzie, a Polak, dwa razy większy od niego, zamasyżuje wyciągał sieci i ryby. Wielkimi ramionami młócił powietrze, aż furczało, a przy tym śpiewał i śmiał się tak głośno, że niosło się wodą do nabrzeża, gdy wpływali do portu. Można by pomyśleć, że kochał tę pracę. Tak bardzo jak kochał Agathe. W jej obecności cichł, stawał się potulny i nigdy nie podnosił głosu. W domu zawsze było naszykowane drewno, a wszystko, co wymagało wysiłku, brał na siebie. Często całował Agathe w szyję, unosząc jej warkocz. Te gesty krępowały Fischera. Zięć całował też dzieciaki i poświęcał im dużo uwagi. Fischer uznał, że trudno, może Polaki w domu i w gospodzie śmieją się z niego, ale Agathe jest z tym Wischniewskim szczęśliwa.

Najpierw urodził się Kostek, po niecałych dwóch latach Janek, a w następnym roku Zosia. Chałupa zrobiła się pełna i Fischer modlił się, żeby już żadnych dzieci nie było. Później żałował, gdy mała Zosia umarła. Czasami myślał o niej, o jej maleńkich rączkach i stópkach. Brakowało mu radosnego tuptania i świergotania, wzruszenia, jakie w nim wzbudzała. W chacie wciąż było ciasno, ale puste miejsce po łóžeczku bezlitośnie przypominało o niedawnej obecności wnuczki. Nie mógł tego znieść. Stawiał w kącie krzesło i często na nim przesiadywał. To było dobre miejsce. Widział stąd drzwi, stół i kuchnię, a przy niej Agathe, która, chcąc zagłuszyć żal i żalobę, robiła w zapamiętaniu kompoty, soki, dżemy. Zapełniła nimi prawie całą piwniczkę pod chatą. Czasami krzątała się do późnej nocy. Anton przyglądał się córce z troską.

Wischniewski chodził z chłopcami do lasu, przynosili najpierw jagody, a teraz maliny. Próbował zatajać, jak bardzo przeżywa stratę córeczki. Niekiedy, nagle i bez powodu, podrywał się od stołu w trakcie obiadu i wybiegał na plażę, starając się ukryć łzy. Nie śmiał się tyle co dawniej. Podczas gdy Agathe zatracala się w różnych pracach, Wischniewski zwalniał, przygarbił się i wyglądał na oszołomionego. Gazety i audycje radiowe puchły od spekulacji na temat wojny, a on przychodził z roboty, słuchał w kącie radia i krzywił się z niedowierzaniem. Przecierał oczy gestem pełnym zwątpienia. Fischer obserwował go z niepokojem. Wydawało mu się, że zięcia zaczynają pochłaniać mrok i lęk. Wojna zdawała się wisieć w powietrzu, niemal tak pewna jak zima po lecie. W porcie, na pocztę, w gospodzie, przy kartach i przy piwie – wkradała się w każdą rozmowę. Tak naprawdę już nadeszła, myślał Anton. Widział ją w obronnych gestach oddalających od siebie ludzi. Ostrożność, podejrzliwość i wrogość zastępowały serdeczność. Wiedział, że tu, nad Ostsee, nigdy nie było łatwo. Polaków mało, Kaszubów więcej. Jednych i drugich Niemcy traktowali jak obcych. Ale byli to swoi obcy, szczególnie Kaszubi, którzy uważali się za najstarszy lud Pomeranii. I jakoś wszyscy po trochu w siebie wrastali. Byli w końcu sąsiadami, razem pracowali, ale w gospodzie siedzieli przy różnych stołach i rzadko wżeniali się między siebie.

Na brzegu, niedaleko portu instalowano baterie przeciwlotnicze. Wischniewski poszedł tam z ciekawości i wrócił do domu pobity.

– To nie żołnierze – przyznał się teściowi. – Ale żołnierze się przyglądali i nic nie zrobili.

Fischer opatrywał mu głowę. Rana była paskudna i przydałoby się szycie, lecz Wischniewski nie chciał o tym słyszeć.

– Doktor to Niemiec. Nie ufam mu. I tak zagoi się jak na psie. Zmarszczył twarz, wargę miał rozciętą i nabrzmiałą.

Dopiero teraz Anton zauważył, że w bijatce zięć stracił ząb.

– Tamci na pewno wyglądają gorzej.

W to Fischer nie wątpił. Chrząknął potakująco. Siedzieli na piachu przed chatą i spoglądali w morze. Fale uderzały o brzeg, ciężko i leniwie. Słyszeli za sobą Agathe, która ściągała z wewrandy pranie. Skończyły się już ciepłe, letnie noce, wiatr się wzmaczał, niósł powiew jesieni i zapach nadchodzących sztormów. Dni były wyraźnie krótsze, ale popołudniowe sierpniowe słońce wciąż miało moc.

– Wyjedźcie.

– Dokąd? – Wischniewski obrócił się do Antona.

W jego oczach teść dostrzegł bezradność. Zmieszał się pod tym spojrzeniem.

Kilka dni później Wischniewski zniknął. Wyszedł rano, ale nie pojawił się w porcie. Kiedy Fischer wrócił z połowu do domu, Agathe siedziała przy stole, siekała kapustę na ślepo, a łzy lały jej się strugami po twarzy i szyi. Siedziała z zapadniętymi ramionami, szlochając jak małe dziecko. Cała się trzęsła. Kiedy ją objął, drżenie przechodziło na niego. Chłopcy siedzieli po drugiej stronie stołu. Janek zwinięty w kulkę niczym przestraszone szczenię. Kostek cichy i skupiony.

– Co się stało? – zapytał Anton.

Wtedy Kostek wstał i przysunął do stołu oba krzesła. Złapał Janka za rączkę. Podeszli do dziadka. Przestraszony Janek i poważny Kostek, z cieniem zaniepokojenia na twarzy. Było w nim coś odświętnego, jakby szedł do kościoła. Podniósł na Antona swoje zielono-niebieskie oczy i kiedy zaczął mówić, Fischer po raz pierwszy usłyszał w nim męczyznę. W jego głosie pobrzmiwały chłód i zdecydowanie, a twarz chłopca stała się mniejszą kopią twarzy Wischniewskiego.

– Tatko poszli bić Niemca, dziadku.

Kostek dorastał. Zdarzało się, że wychodził z domu i nie wracał na noc. Spotykał się w porcie z innymi podrostkami. Chuliganiał.

W ciemności wybijał szyby w witrynach sklepów, kradł, podpalał i mącił. Do tego, jak na złość, pisał listy, polskie listy. Fischer wiedział, że pisze do ciotki, siostry Wischniewskiego, wdowy, która miała trochę ziemi gdzieś pod Posen.

Agathe po wyjeździe męża zamilkła, stała się osowiała i bezwolna, a kiedy Fischer czasami kątem oka łapał jej spojrzenie, przerażała go tkwiąca w nim pustka. Kaszłała i słabła z dnia na dzień. Kiedyś dorodna, z zaokrąglonymi piersiami i biodrami, w ciągu roku postarzała się i schudła. Skóra na jej twarzy pobladła i popękała w zmarszczki, a kąciki ust opadły. Prawie nie wychodziła z domu. Przez całe dni leżała w łóżku, odwrócona plecami do izby, i wpatrywała się w ścianę.

Kostek wyjechał, nic nie mówiąc nikomu. Rano był, a wieczorem już nie. Zostawił list Jankowi. Po polsku i tak nabazgrany, że Fischer nie mógł przeczytać ani słowa. Pojechał do ciotki, do koni. Tak napisał.

W niedzielny poranek Agathe nie poruszyła się aż do południa. Janek wyszedł do kościoła, a Fischer, pochylony nad wiadrzem, obierał ziemniaki. Nie szła mu ta robota, bo co chwilę obracał głowę i patrzył na kształt rysujący się pod kołdrą.

– Agathe, Agathe! – zachrypiał. Głos jakoś nie chciał się rozejść. – Agathe! – powtórzył.

Nie reagowała.

– Córś, dajśe spokój! Zrobię herbaty. Zjedz coś!

Zaniepokojony odłożył na wpół obrany ziemniak koło wiadra, wytarł ręce w ścierkę i podszedł do niej. Dotknął jej karku. Był zimny. Ogarnęła go nagła i bolesna rozpacz. Dławiło go w gardle. Usiadł na podłodze koło łóżka. Otarł łzy i pomyślał, że nie może się tak pokazać Jankowi. Czasu było mało. Msza zaraz się skończy. Schylił się, podniósł ziemniak, który sturlał się aż pod okno, wytarł go i obrał do końca. Odstawił garnek i umył ręce. Ułożył Agathe na wznak, wygładził kołdrę i podciągnął córce pod szyję.

Przeczesał jej dłonią włosy nad czołem. Odsunął się i uznał, że wygląda godnie. Zapalił świecę.

We wtorek pochowali ją na cmentarzu koło ojca Fischera. Janek napisał do Kostka. W nocy wnuk przytulił się do Antona, do jego kościstych, twardych pleców. Wystające kręgi wbijały się w policzek chłopca.

– Dziadku, ja cię nie zostawię – wyszeptał.

I tak Fischer został tylko z Jankiem, cichym i chudym jak dziadek. Uczył się go kochać. Zawsze faworyzował Kostka, ale Kostek uciekł od niego, jak jego ojciec. Czasami patrzył na Janka i ogarniała go złość. Chłopak był niezdarny. Miał niespotykane długie ręce i nogi, ciągle się potykał. Mało mówił, a w oczach nosił morze, zimne i ponure, nie tak jak Kostek. W Kostku były siła, bunt i hardość Wischniewskiego, której Anton nie lubił, ale którą podziwiał i za którą tęsknił. W Kostku czytało się wszystkie emocje, które puchły i wrzały pod skórą. Dawał im upust w złości i radości. Bez niego chata zrobiła się pusta.

Wojna toczyła się gdzieś w tle, obecna i jednocześnie nieobecna. Fischer słyszał niekiedy całkiem blisko wybuchy i strzały. Czasami oglądał zdjęcia Hitlera w gazecie. Zacięta twarz i mroczne oczy wydawały mu się okrutne. Hitler czy kajzer, wszystko jedno, pamiętał listę nazwisk chłopców, których kajzer posłał na śmierć. Pomnik ofiar wielkiej wojny stał przy ratuszu w Stolpmünde. Można będzie postawić drugi. Miejsca jest dość, pomyślał. Przypomniawszy sobie, jak Wischniewski powiedział kiedyś, że wojna toczy się o zasoby. Jakie zasoby? W morzu roi się od ryb, w lasach od grzybów i borówek. Nawet bursztynu nie brakuje. Od lat zbierał jantary – lubił to słowo, dużo lepsze niż Bernstein czy bursztyn. W skrzyni schowanej pod werandą leżało dobrych kilka kilogramów. Kiedyś zostawi je Jankowi.

Mijały lata, wojna przyszła i odeszła. Nakarmiła się śmiercią – Anton tak o niej myślał. Jak o głodnej bestii, która złoży gdzieś napasione cielsko i prześpi lata, zanim znów zgłodnieje.

Pomorze było teraz polskie. Nie miało to dla niego znaczenia, byle zostawili go z Jankiem w spokoju. Przywykł do tego, że są we dwóch. O Agathe, Kostku i Wischniewskim myślał rzadko. Byli jak dawno oglądany film, który czasami sobie przypominał.

Przyszło mu do głowy, że upływ czasu można mierzyć wzrostem Janka, który już prawie sięgał sufitu. Chłopak rósł, a Fischer się kurczył. Wiedział, że przed nimi ostatnia wspólna zima, ostatnia wiosna i ostatnie lato. Janek pójdzie wkrótce do szkoły do Gdyni i będzie pływał dalej niż tylko na Ostsee. Chłopak kochał morze miłością pełną zachwyty i tęsknoty. Na rybaka się nie nadawał. Martwe ryby go smuciły. Fischer pogodził się z tym.

Oderwał wzrok od białych wydm, przykrył sobie kolana kocem i spojrzał w szare niebo. Zrobiło mu się zimno. Długo już siedzi, za długo. Trzeba iść. Co prawda niedziela, ale warto sprawdzić, co się dzieje w Stolpmünde. Wstał. Wytrzepał koc. Uchylił drzwi i położył pled na skrzyni stojącej pod ścianą.

– Idę do portu – rzucił do Janka, który rozkładał na stole książki i papiery.

Kiedy wspinał się na wydmy, poczuł ukłucie w stopie. Ból był przeszywający i wchodził głęboko, aż w łydkę. Cholerna drzazga. Deski w podłodze wymagały wymiany. Nie powinien chodzić po nich boso. Z każdym ruchem ból stawał się dotkliwszy i bardziej piekący. Zaciśnął zęby i szedł dalej, aż pulsowanie rozpuściło się we krwi i zrównało z rytmem kroków. Zrobiło mu się już całkiem ciepło, nawet przyjemnie. Do portu w Uście miał jeszcze ze dwa kilometry. Podniósł głowę. Dobrze było iść w bezwietrznym zimnie. Przypominał sobie, co słyszał kilka dni wcześniej w radiu: że zima zaczęła się już pod koniec października. Nie tutaj. Na południu. W Karkonoszach. Nigdy nie był w górach, ale mógł je sobie wyobrazić – wysokie, masywne i pokryte śniegiem.



Cały rok był ponury i chłodny. W połowie października nadeszły mroźne noce. Za dnia hulał wiatr, a śnieg z deszczem wdzierał się w szpary budynków. Pod koniec miesiąca mróz ściał powierzchnię Bobru, a szczeliny w górach wypełniły się lodem. Nad wsią groźnie wyrastała ubrana w białą czapę Śnieżka, porysowana czarnymi lodowymi sztyletami, szerokimi u podstawy i coraz cieńszymi u góry. Kiedy patrzyło się na nią w porannym świetle, wyglądała, jakby miała zęby.

Mróz wisiał nad Strupicami niczym wstęga, jak oddech Karonoszy, który sięgał tylko do ulicy Wiejskiej. Dalej za wzgórzem, za kościółkiem świętego Jerzego, schodząc do Jeleniej Góry, lżał i tam łatwiej się oddychało, bez drażniącego zimna, wdzierającego się głęboko do gardła. Kto mógł, zamykał się w domu i nie wyściubiał nosa za próg. Po zmierzchu wieś zamierała. W gęstej, ciemnej nocy milkły nawet psy, schowane w budach i stodołach. W przejmującej i pełnej napięcia ciszy każdy najmniejszy dźwięk wydawał się głośny.

– To obrzydliwe. – Stefa obróciła głowę w stronę Walentyny, która siedziała skulona na niskim stołku przy rozgrzanym piecu. – To wstrętne – powiedziała głośniej.

Walentyna nie reagowała. Była głucha jak pień. Tata wyszedł na papierosa, a Stefa miała ochotę wykrzyczeć te słowa, ale bała się, że ojciec ją usłyszy. Z góry dochodziły nieznośne wrzaski i zawodzenia matki. Gdyby mogła, krzyczałyby głośniejsze od niej. Co matka mogła wiedzieć o bólu? Na pewno nie tyle co Stefka, chyba że rodzenie dzieci jest jakąś bożą pomyłką. Jak można tak karać kobiety? Za Ewę? Za jej grzech w raju?

Od podglądania Walentyny ścierpła jej szyja, więc powoli wróciła do pozycji na wznak. Tak mogła patrzeć tylko w sufit, który był biały i pokryty drobnymi rysami, ułożonymi półkoliście jak małe pajęczyny. Zastanawiała się, czy spękał tak od ludzkich kroków na piętrecie. Każda pajęczyna od odbicia stopy. Ale to by znaczyło, że wszyscy stawiają je zawsze w tym samym miejscu. Dokładnie, w punkt – ruchy powtarzalne jak w zegarku. Jak w zegarach ojca, które stały i wisiały w całym domu. I wciąż ich przybywało. Znosił je i naprawiał, a ich tykanie i bicie budziły ją w nocy. Mógłby trzymać je u Walentyny i Władysława, pomyślała z irytacją.

Krzyki na piętrecie ucichły i Stefa usłyszała, jak Wielgusowa woła ojca. Wbiegł na schody. Pod stopniami też pewnie były pajęczyny spękań. Wyobraziła je sobie. Małeńkie kółka, a wokół nich coraz większe, jak na powierzchni stawu, gdy wrzucić w wodę kamień.

Henryk przystanął przed drzwiami, głęboko odetchnął, zapukał, a później nieśmiało wszedł. Powietrze w pokoju, ciepłe i gęste, cuchnęło potem, moczem i krwią. Fetor uderzył mocno, aż go zemdlilo, ale przełknął ślinę, która napłynęła mu do ust. Zaczął oddychać płytko i szybko. To pomogło.

– Wszystko dobrze. Dziewczynka. Zdrowa, ale malutka – powiedziała Wielgusowa.

Dopiero wtedy pochylił się nad dzieckiem, które tuliła Hela. Przyklęknął obok łóżka, przyglądając się, jak podaje pierś niemowlęciu. Była obolała i zmęczona, lecz uśmiechała się do

niego przez łzy. Kosmyk czarnych włosów przylepił się do jej spoconego czoła i przecinał je łagodnym łukiem. Spoglądała na dziecko, rzęsy rzucały cień na jej wymizerowaną twarz. Nawet tak umęczona była piękna. Najpiękniejsza, pomyślał z tkliwością. Zawsze zastanawiał się, jak ta kobieta mogła wybrać sobie mężczyznę tak słabowitego i kalekiego, którego ciało marniało z każdym rokiem. Tylko garb rozrastał się i nie dawał się już ukryć.

– Spójrz, nasza Czesia ma czarne oczy. Czarne jak węgiel. Myślałam, że wszystkie niemowlęta mają niebieskie. – Hela popatrzyła na niego pytająco.

Chciał przytaknąć, ale noworodek właśnie przymknął powieki.

– Bzdura! – zachnęła się Wielgusowa. – To rzadkie, ale się zdarza.

Podeszła do Heli, ostrożnie zabrała jej dziecko i podała Henrykowi. Otarł łzy, wziął na ręce owinięte w becik niemowlę i szedł do Stefy pokazać jej siostrę. Delikatnie ujął dłoń dziewczynki w swoje ręce i kierując jej palcami, dotknął policzka noworodka. Dziecko było pomarszczone i miało zaczerwienioną skórę.

– Ale brzydka – stwierdziła Stefa. – Umrze? – spytała po chwili.

– Nie, nie umrze. – Henryk pogłaskał ją po głowie.

Zamknęła oczy i z trudem odwróciła się na bok. Nogi i biodra miała uwięzione w opatrunkach. Bandaże sięgały aż do pasa. Dotknęła ściany. Była zimna.